

**JA5ΠE ΔΠΙ,
CIEΠΠE ΔΠΙ**

Katarzyna Ryrych
Jasne dni, ciemne dni

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

Okladka:
Elżbieta Chojna

Redakcja, korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-480-5

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

KATARZYNA RYRYCH

JASNE DNI,
CIEMNE DNI



...nic nie jest takie,
jakim się wydaje.

I

Bąk śpi. Niewinna, różowitka buzia. Ktoś mógłby pomyśleć, że grzeczna taka. A przecież to diabeł wcielony. Wyszczekana, pyskata.

Dobra, uderzę się w pierś.

Moja szkoła.

Nie trzeba było kazać, żebym zabierał ją ze sobą na boisko. Albo przed blok. Ale nie było wyjścia. Brak miejsc w przedszkolu i takie tam.

Do zeszłego roku, to znaczy do dnia, kiedy Bąk zakochała się w moim najlepszym kumplu, absolutnie nie chciała być dziewczyną.

Spodnie, żołnierzyki, autka. Matka szalała, że rośnie w domu jakaś trzecia płeć. A tu proszę – pojawia się Damian, Bąk na to maślane oczka, cała zakochana. Wyciągnęła z szafy komunijną sukienkę Magdy i paradowała w niej, dopóki matka nie wróciła z pracy.

Szok.

– Zdejmij to natychmiast, teraz, zaraz, już.

Bąk stoi i nie rozumie, że Magdy już nie ma i nigdy nie będzie, że Magda to niegojąca się rana w sercu matki.

No to Bąk zaczyna płakać. Nie, nie płacze. Bąk wyje. Patrzy na mnie, jakby chciała zapytać, czy wystarczy.

Mrugam do niej. Cisza.

Bąk wlecze za sobą te wszystkie białe koronki i falbanki i wpycha do szafy.

– Ta Magda to co? – pyta mnie, kiedy zabieram ją na podwórko.

Mówię, żeby wytarła nos, bo przyjdzie Damian.

Poskutkowało.

Damian traktuje Bąka całkiem serio. Wyciąga z kieszeni lizaka i Bąk jest w siódmym niebie.

Tak mi się przypomina, kiedy patrzę, jak Bąk śpi.

– Bąk – mówię bardzo głośno. – Wstawaj.

Bąk na to, że weekend. Nawet oczu nie otwiera.

Ciągnę za koc. Bąk trzyma ten koc mocno jak bulterier.

– Bąk, no kurczę... Po zakupy muszę. Chcesz światełki bułeczki na śniadanie?

Bąk siada na łóżku. Ziewa.

– Babcia śpi? – pyta.

– Śpi – odpowiadam.

Po tych wszystkich tabletkach miałyby nie spać?

Bąk siedzi na brzegu łóżka i bosymi stopami usiłuje wyłowić spod łóżka kaptcie. Zawsze pilnuje, aby postawić na podłodze najpierw prawą, a potem lewą stopę. Żeby nie było, że wstała lewą nogą.

Muszę ogarnąć rzeczywistość.

Szczęście, że jest sobota.

Zaglądam do pokoju babci. Śpi, co było do przewidzenia.

Dla pewności zamykam drzwi na klucz, nie wiadomo, co może się wydarzyć, i zasuwam do sklepu.

– Co nowego? – zapytuje sprzedawczyni. – Z tatą bez zmian?

– Bez zmian – odpowiadam.

Oczywiście jakiś postęp jest, bo mruga prawym okiem na „tak”, a lewym na „nie”. Ale sprzedawczyni tego nie pojmie. Gdyby wstał i sam przyszedł po zakupy, to byłaby zmiana, co się zowie. Ale takie tam mruganie?

Ojciec leżał bez mrugania pół roku. Po wypadku, w którym zginęła Magda, tak sobie trwał, jak warzywno. Może to i lepiej dla niego, bo matka nie chciała go widzieć na oczy. Trochę głupio. To nie była jego wina, że jakiś gość jechał po pijanemu i walnął w nasze auto. Gdyby nie próbował ratować Magdy, może byłoby lepiej.

Tylko matka tego za nic nie chce pojąć.

Jak ktoś ma uraz kręgosłupa, nie należy go ruszać. Sam też powinien leżeć i czekać, aż go pozbiorają.

Lekarz mówi, że ojciec miał szczęście.

Pewnie ma rację, ale świat się nam posypał. Jakby ktoś rozmontował kalejdoskop. Została tylko rura, a szkiełka gdzieś się pogubiły.

Pamiętam jak przez mgłę – matka siedzi w pokoju i, tak jak ojciec, nie widzi i nie słyszy nikogo, tylko trzyma sukienkę Magdy, jakby to jakaś świętość była. Bąk łązi koło niej jak psiak. Zero reakcji.

To chyba był wtorek, chociaż nie, może czwartek?
W sobotę przyjeżdża babcia. Wygląda na taką, co to
wszystko ogarnie.

Na szczęście nad nikim się nie użala, szczególnie
nad matką.

No bo trzeba żyć, cały czas to mówiłem.

Nawet nie chodzi o Bąka i o mnie.

Chodzi o zasadę.

Już wtedy widzę, że dogadam się z babcią. Stara jak
Jagiełło, ale życiowa.

Nawet Damian jest pod wrażeniem.

Z tyłu można jej dać dwadzieścia lat. No ale jak ktoś
całe życie tańczy w balecie, to czego innego można się
spodziewać?

Nawet Bąk w szoku. Co rano razem z babcią macha
nogami.

Tak sobie wspominam i pakuję do koszyka bułeczki,
mleko, zbożowe kóleczonek i nutellę. Śniadanie Bąka.

Ja bardziej zdrowo i energetycznie.

Babcia wypije kawę i to będzie wszystko.

A matka – sądząc po pieczywie chrupkim, co wy-
gląda i smakuje jak tektura – znowu na diecie.

Dzisiaj zastępuje przyjaciółkę, czyli wróci rano i bę-
dzie spać do wczesnego wieczora.

Wracam do domu i zastanawiam się, jak ustawić
dzień. Do południa Bąk posiedzi z babcią, ja skoczę
do ojca, zaniiosę pampersy, a po trzeciej Bąk idzie na
jakiś urodziny.

Wpadnie Damian, pogramy na kompie. Będzie
dobrze.

Wchodzę do mieszkania, Bąk już ubrana, babcia da-
lej śpi.

Zrobimy śniadanie i spadam.

– Jest tylko cukier w kostkach – informuje mnie
Bąk. – Dwie łyżeczki cukru to ile to będzie kostek?

– Cztery – mówię.

Bąk kiwa głową i przygotowuje dla babci kawę.

Nikt by nie uwierzył, jak dajemy sobie radę.

Bąk sypie na talerz kóleczonek, ja zalewam mlekiem.

Kiedy kończymy, wchodzi babcia.

– Muszę się pakować – oznajmia. – Przygotuj mi
walizkę. Tę białą.

Ma tak od roku. Ciągłe wyjeżdża na tournée, a to
do Paryża, a to do Buenos Aires. I święcie w to wierzy.

– Babciu – mówię – loty dzisiaj odwołane. Hakerzy
włamali się do systemu.

No to babcia rezygnuje z wyjazdu. Zanim zabrał się
za nią Pan Alzheimer, zdążyła się dowiedzieć, co to za
jedni.

Teraz haker to gorzej od diabła. Serio.

– No to trzeba poczekać – postanawia rozsądnie
babcia i zaczyna planować obiadek.

„Obiadek” – zawsze tak mówi.

Przynajmniej Bąk nauczy się gotować – myślę sobie.

Tydzień temu Damian obiecał, że się z nią ożeni,
jak będzie umiała gotować. Powiedziałem mu potem,
że jest zwyczajną świnią, a on na to, czy nie chciałbym,
żebyśmy byli rodziną. Ale Bąk wzięła sobie to do serca
i asystuje babci w kuchni.

Ma to swoje dobre strony.

Bąk pilnuje, aby babcia nie dodała do zupy cukru zamiast soli, chociaż wszystkie puszki są wyraźnie podpisane, żeby babcia mogła przeczytać bez okularów.

I gdyby babcia zacięła się w palec, Bąk wie, gdzie jest apteczka.

W ogóle Bąk jest strasznie mądra. Nie boi się robali, jeździ na deskorolce jak szatan i umie trzymać język za zębami.

Kiedy zginęła Magda, Bąk postanowiła, że będzie chłopcem. Próbowałem z niej wyciągnąć, co w tym takiego fajnego, ale gdzie tam. Może przyszło jej do głowy, że chłopcy są nieśmiertelni?

Pewnie pokojarzyła w tej swojej główce, że skoro spadłem z wysokości pierwszego piętra i nic sobie nie zrobiłem, to coś w tym być musi.

– Bąk, wychodzę – informuję, ale Bąk nawet nie odmachą, dryluje czereśnie, bo zaplanowały z babcią pierożki.

Mogę być spokojny. Gdyby nie to, że Bąk jest taka pozbierana, nie ruszyłbym się z domu na krok pod nieobecność matki.

Idę ulicą, gorąco jak wszyscy diabli. Pachną akacje i lipy, wszystko naraz. Ludzi z miasta jakby wymiotło. Wiadomo, weekend.

Całe towarzystwo siedzi albo na działkach, albo nad rzeką.

Są tacy desperaci, co rozpalają grilla na balkonie. Cała ulica pachnie kiełbaską i cebulką.

Jeden taki nie wpuścił straży miejskiej, chociaż się dobijali. Bo nie wolno.

Na przystanku stoi sobie jakby nigdy nic Kota. Niezły z niej aparat. Dali jej na imię Konstancja, po jakiejś pra. Nieszczęśliwa dziewczyna.

Na samym początku była Kostka, ale potem palnęła, że ma oczy „kocie”. Na mój gust to ma zielone, ale się nie wypowiadałem.

No to przerobili Kostkę na Kotę.

Pewnie to lepsze niż Konstancja.

Pojedziemy jednym autobusem, więc nie mogę udawać, że jej nie widzę.

– Cześć, Kota – mówię.

– Cześć – odpowiada i się uśmiecha.

Jest jakaś inna niż w szkole.

– Dokąd jedziesz? – pyta.

Odpowiadam, że do ojca. Wszyscy wiedzą, co się stało. Współczują, ale na szczęście nikt nic nie mówi.

– Kazali ci?

– Nie – mówię. – Sam jadę.

Kota gapi się na mnie, jakby po raz pierwszy mnie zobaczyła. A oczy ma takie zielone jak... trawa? Liście? Po prostu zielone.

W głowie mi się kręci od tej zieleni. A Kota stoi i się uśmiecha.

– Ty to naprawdę fajny jesteś – mówi nagle i chociaż nadjeżdża autobus, nie wsiada.

Dziwna.

W środku pusto, siadam sobie z tyłu przy oknie i gapię się na wyludnione ulice.

„Fajny jesteś” – dzwoni mi w głowie.
A jak ojciec widzi i słyszy, tylko nie potrafi mówić?
I zapamiętuje, kto był u niego, a kto nie?
Byłoby mu głupio, gdybym się nie pojawiał. Zresztą
co mam w domu do roboty. Obiadek?
Ale Kota nie daje mi spokoju.
Z tego wszystkiego prawie przegapiłem swój przy-
stanek.
Do szpitala kilka kroków. Wyjmuję z kieszeni parę
zielonych (czemu akurat zielonych???) ochraniaczy na
buty i zasuwam na górę.
– O, Witek – pielęgniarki znają mnie dobrze. Czuję
się tu jak w domu.
Ojciec leży na swoim łóżku, obok niego siedzi fi-
zykoterapeuta. Próbuje go uruchomić od dawnej daw-
ności.
– Cześć, tata – mówię, a tata... kurczę, chyba mi się
nie zdawało. Ojciec mruga trzy razy.
To coś nowego.
– To jest powitanie – wyjaśnia terapeuta. – Robi-
my postępy – dodaje, kiedy przysuwam sobie do łóżka
krzesło.
Postanawiam, że torbę z pampersami dam pielę-
gniarkom. Żeby ojcu nie było głupio.
Siedzę i patrzę na ojca. Opowiadam, co w domu, że
na obiad pierożki, a ojciec mruga jak najęty.
Oczywiście o odlotach babci nic nie wie. Nie pomo-
że w niczym i tylko się będzie martwić.
Ustaliliśmy w domu, że ani słowa.

Czasami zastanawiam się, czy i mnie dopadnie coś
takiego. Nagle zacznie mi się wydawać, że jadę gdzieś
albo że jestem zupełnie gdzie indziej, niż jestem.

Tego bym nie chciał.

Chociaż z drugiej strony, jeżeli babcia ma na powrót
dwadzieścia pięć lat i dostaje angaż w Buenos Aires –
to może jest szczęśliwa?

Byleby tylko znowu nie przyszło jej do głowy wziąć
taksówkę i jechać na dworzec. Bo za którymś razem
uda się jej wsiąść do pociągu (byle jakiego) i pojechać
w Polskę. A wtedy – szukaj wiatru w polu.

Podobnie jak babcia tańczy Bąk.

– Nie tak! Nie tak! – woła babcia, kiedy Bąk robi te
swoje wygibasy. – Klasyka, dziecko, klasyka.

Bąkowi do klasyki daleko, jak stąd do Nowego
Jorku.

Ale jest w tym coś.

No nic, żegnam się z ojcem. To znaczy ściskam jego
rękę, a on mruga. Chyba naprawdę jest jakiś postęp.
Żegnam się też z fizykoterapeutą. W sumie fajny gość.
Włosy długie, podgolony po bokach, nosi glany. Zało-
żę się, że słucha metalu.

– Słucham – odpowiada.

I tak się rozstajemy.

Wracam do domu piechotą. Nie żeby mi było szko-
da na autobus, ale czasami lubię pospacerować. Idę so-
bie przez park, a w głowie wyświetla mi się film. Ja,
Magda, Bąk, matka. Prawie jak kino familijne. Zbiera-

my kasztany – to znaczy dziewczyny zbierają. To wygląda tak, że kiedy Magda podnosi z ziemi jakiś kasztan, Bąk zaczyna ryczeć. Bo nie ona znalazła. Ojciec robi nam zdjęcia, a Dżok goni za gołębiami.

No właśnie. Dżok. Przecież też był w tym samochodzie.

Aż mnie zatkało.

Wyjmuję z kieszeni telefon. Matka, co prawda, nie lubi, kiedy przeszkadza się jej w pracy, ale nagle Dżok robi się ważny.

– Coś z babcią? – pyta.

Standard. Jeżeli dzwonię, to musi być coś z babcią. Nie wiem, jak zacząć.

– Bąk?

Muszę się odezwać. Muszę ją uspokoić.

– Nie – mówię ostrożnie. – Gdzie się podział Dżok? Chwila ciszy. Chwila bardzo denerwującej, niedobrej ciszy.

– Uciekł – odpowiada powoli matka.

Uciekł? Myślę. Myślę. Myślę. Uciekł.

– Witek?

– W porządku – mówię.

– To po to dzwonicz? Tylko po to?

– Tak.

Nagle zupełnie absurdalnie przychodzi mi do głowy, że powinienem odnaleźć Dżoka. Tak jakby to mogło coś zmienić. Hokus-pokus, jeżeli znajdzie się Dżok, wszystko wróci do normy.

Siadam na ławce i zaczynam się zastanawiać. Wmawiam sobie, że Dżoka pewnie już nie ma. Taki kanapowiec nie przetrwałby tygodnia zdany tylko na siebie.

Dziewczyna, która zatrzymuje się obok ławki, wciska mi w rękę ulotkę. Podnoszę głowę.

Kota.

– Co ty tu robisz? – pytam głupio.

– Reklamuję zajęcia – wyjaśnia. I dodaje, że mnie nie poznała.

– A jakbyś wiedziała, że ja to ja? – pytam, a Kota mruży te swoje zielone oczy i uśmiecha się.

– A niby po co ci breakdance?

Nagle przychodzi mi do głowy Bąk. Jasne, po prostu Bąk.

– Słuchaj, Kota. Od ilu lat ten kurs? Znaczą, ile musisz mieć lat?

– Są grupy – Kota brzmi bardzo profesjonalnie. – Dzieci i młodzież.

Bingo. Dzieci i młodzież.

– Droga ta impreza?

– Stówkę miesięcznie – odpowiada Kota. – Zapisujesz się?

– A ty? – pytam wymijająco.

– Ja już trzy lata tam tańczę.

Nie wiedziałem, bo i skąd. Kota nie z tych, co to się chwala. Robi swoje.

– Bąk – mówię i nagle zaczynamy gadać, jakbyśmy znali się naprawdę dobrze. – Moja siostra.

Kota słucha i kiwa głową.

– To zaczekaj. Polecę do domu kultury i wezmę deklarację. Zaczekasz?

Kiwam głową. Jakby wczoraj ktoś mi powiedział, że będę w parku na ławce czekać na Kotę, tobym się zdrowo uśmieł.

Życie jest pełne niespodzianek.

Patrzę, jak Kota biegnie przez trawnik. W czarnych legginsach i koszulce wygląda naprawdę jak kot. I wracam myślami do Dzoka.

– Masz – mówi Kota. – Rodzice... – urywa. – Twoja matka musi wypełnić.

– Wiesz, że ojciec łapie kontakt? – pytam.

– Wszystko jest możliwe – odpowiada Kota.

Skoro jest takie możliwe, to może odnajdę Dzoka.

– Długo tu będziesz? – pytam.

Kota patrzy na ulotki.

– Muszę to rozdać – wyjaśnia.

– A nie możesz po prostu wywalić?

Z miny Koty już widzę, że to był głupi pomysł.

– No coś ty. To ważne.

– Masz coś z tego?

Kota patrzy na mnie i zastanawia się.

– Mam – mówi po chwili. – Będę prowadzić własną grupę. Właśnie dzieciaki.

Biorę od niej garść ulotek i idę w stronę skwerku, na którym siedzą matki z dziećmi. A Kota tylko patrzy.

Kwadrans i po ulotkach.

– To wszystko? – pytam.

– Wszystko.

Patrzę na Kotę i zastanawiam się, co dalej.

– Wracam do domu. Wiesz, obiad.

– Gotujesz? – podkpiwa Kota.

– Jasne.

– *Spécialité de la maison?*

Musi zaszpanować. Akurat wiem, co ma na myśli.

– Jajecznicą – odpowiadam zgodnie z prawdą. Bo moja jajecznicą nie ma sobie równych. Najpierw pomidorek leciutko przysmażony, potem jajeczka. Świeża bułeczka, maselko. Palce lizać.

– To się kiedyś wproszę.

Koniec świata! Kota wprasza się do mnie na jajecznicę. Żartuje sobie?

– Czekam niecierpliwie.

Idę sobie obok Koty, słońce świeci, gołębie płaczą się pod nogami, dzieciaki wrzeszczą. Jakby ktoś nas teraz zobaczył, zrobiłby z nas parę.

Kątem oka patrzę na Kotę. W sumie całkiem do rzeczy. Może trochę za dużo kolczyków w uszach. Raz, dwa, trzy w lewym, dwa w prawym. Ale do szkoły grzecznutko. Zdejmuje w szatni, a po lekcjach zakłada.

– Matka ci tak pozwala? – zapytuję.

– Nie mam – odpowiada Kota.

Muszę mieć głupią minę, bo wyjaśnia:

– Nie mam matki.

Ale się wkopałem. Ładny początek (czego?...).

– Sorry.

– Nie bój się, żyje – dodaje Kota.

A już się wystraszyłem. Sytuacja jest dobra, ale nie beznadziejna.

– Odeszła – rozwija temat. – Spotkała faceta. Zakończyła się.

Zaczyna się jak serial.

– Wołałaś zostać ze starym? – taki beztrioski, lekceważący ton na złagodzenie dramatyzmu sytuacji.

– Nie miałam wyboru. Pewnie, że wołałabym z nią.

O starym Koty krążą dziwne opowieści. W ogóle frajer dziwnie wygląda. Jak przedsiębiorca pogrzebowy. Albo komornik. Wróg postępu. Kota chowa przed nim komórkę. Bo telefony komórkowe zniewalają ludzi.

Dużo by gadać.

– To się do niej wynieś.

Wujek Dobra Rada, ha, ha.

– Nie mogę. Nienawidzę jej...

Tak, serial. Odcinek drugi.

– ...bo mnie zostawiła – kończy Kota.

– Tak zupełnie? Zero kontaktu?

– Pisz do mnie. Mam całą szufladę tych listów.

– I co?

– Nie czytałam. Leżą sobie.

Gdybym nie chwycił jej za ramię, przewróciłaby się o mikropsa. Właśnie, pies.

– Słuchaj, Kota...

– Słucham.

– Wiesz może, jak znaleźć psa?

Kota przystaje. Myśli.

– Konkretnie, proszę. Chcesz psa?

Kręcę głową.

– Nie. Miałem psa. To znaczy ojciec miał.

– Zgubił się.

Co za nieprawdopodobna inteligencja.

– Tak. Kiedy ojciec miał ten wypadek. Wiesz który.

Kota kiwa głową.

– Miał na pokładzie psa.

– Na pokładzie? Mówiłeś, że autemjechał.

– On tak mówił. Na pokładzie.

– Jasne. I co dalej?

– Pies zniknął.

– To trzeba było szukać. Natychmiast.

Tak, natychmiast. Akurat wtedy zależało mi na tym cholernym psie. Najbardziej na psie. Gdyby nie babcia, sam nie poradziłbym sobie ze wszystkim.

– Ano.

Odpowiedź klarowna i jasna.

– I teraz chcesz wziąć się za poszukiwania, tak?

Milczę. To ma oznaczać „tak”. Dziewczyny rozumieją takie subtelności.

– Wiesz, gdzie się zgubił?

– Wiem.

Spomiędzy drzew widzę nasz blok. Zaczynam się denerwować. Zawsze tak mam, kiedy wracam do domu. Ale Bąk jest pozbierana, zadzwoniłaby w razie czego.

Żegnamy się z Kotą, ona idzie w swoją stronę, ja w swoją.